Nr. 33. **Lwów, —— 1892 r.** **Wydawnictwa Rok XV.**

GONIEC i ISKRA

(Dziennik dla wszystkich.)

Czasopismo illustrowane.

Numer pojedyńczy **20.** ct. w. a. — Dodatek osobny dla nieprenumeratorów **10.** ct. w. a.

Goniec i **Iskra** wychodzi: 1., 10., i 20, każdego miesiąca, zaś **dodatek osobny** w każdym miesiącu. Nadto, prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują osobne *bezpłatne premia illustrowane.* Prenumerata na **Gońca i Iskrę** wraz z **osobnym dodatkiem** i **premiami** wynosi tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. **Dodatek osobny** dla nieprenumeratorów „Gońca i Iskry" kosztuje **10 ct. w. a.** W poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnej 20 franków (4 dolary); rocznie w Ameryce południowej, w Brazylji, Australji i innych częściach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Nadesłane po 20 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych albo pieniężnych: **do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych*, lub także przekazem pocztowym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego miejscowego prenumeratora.

Właściciel i naczelny redaktor: M. D. Chamski.



Dr. Wilhelm Holzer.

(Rysowane z lwowskiej fotografji Hennera).

W naszych zwykłych czasach, odznaczających się swoją drogą zażartą walką o byt, wśród wybitnych ludzi, rozsianych po rozmaitych społeczeństwach, najwięcej jest takich, co zdobyli ten byt, stanowisko, rozgłos, często nawet sławę, ale drogi, jakiemi do tego wszystkiego dążyli, niekoniecznie godzą się z temi etycznemi zasadami, które bądź, co bądź, pozostaną zawsze wytycznemi w życiu społeczeństw, dopóki człowiek myśleć i czuć będzie, a chyba tego nawet rozczochrany naturalizm, buszujący teraz po literaturze i sztuce, zniszczyć w człowieku nigdy nie zdoła. Ale wśród tej walki o byt, są, jednak, ludzie, którzy cicho, bez najmniejszego rozgłosu, oparłszy się o głębsze filozoficzne podstawy życiowe, położyli sobie za zadanie robić dobrze drugim, ile tylko sił starczy, a tych sił znajdują oni dosyć zawsze w samym sobie.

Do takich ludzi, należy dr. Wilhelm Holzer, znany dobrze szerokim kołom naszego miasta, nie ze swego zawodowego stanowiska, na którem, zresztą, uczciwie i nieskazitelnie pracuje, lecz z tego zacnego miłosierdzia, które jest prawdziwą ozdobą ludzkiego charakteru. Dziś, gdy ludziom tak ciężko, tak twardo żyć, a zastępy biedaków, przymierających z głodu i chłodu, z dniem każdym zwiększają się — ludzie, co nędzę łagodzą praktycznie, czynem, bez względu na to, czy ich kto za to pochwali, doprawdy, należą do ludzi nietylko wyjątkowych, ale bardzo pożytecznych. Mówią, wprawdzie, doktrynerzy, że miłosierdzie prywatne, nie zaradzi wzrastającej nędzy i, że rządy i społeczeństwa powinny racjonalnemi drogami dążyć do dobrobytu ogólnego, ale w obec rzeczywistości, rzeczywistości strasznej, to tego rodzaju głosy, są tylko muzyką przyszłości, a dziś, jak się komu chce jeść i nie ma za co sobie kupić kawałka chleba, trudno go nakarmić tem, co będzie później. Miłosierdzie, bądź, co bądź, pozostanie na zawsze jedną z najpiękniejszych cnót ludzkich, tak zawsze piękną i szerokie obejmującą horyzonty, że nawet różnice religijne, nie wpływają na jej uznanie przez ogół, na jej doniosłość i na jej błogosławione owoce.

Dr. Wilhelm Holzer, jest izraelitą, nie takim wprawdzie, jak wielu z jego współwyznawców, którzy pod względem społecznym i narodowym niczem nie są, lecz dobrym synem kraju, w którym się urodził i szczerym polakiem, bez żadnych zastrzeżeń. Ale żydzi, prawdę mówiąc, pod względem miłosierdzia, powodują się ciasną kastowością — żyd rzadko kiedy, wesprze biednego nieżyda, a potentaci izraeliccy z finansowej sfery, jeżeli publicznie ofiarowują jakieś kwoty »bez różnicy wyznania«, to robią to dla reklamy, lub pod jakimś naciskiem. Dr. Wilhelm Holzer z tych ciasnych granic kastowości wyemancypował się zupełnie — dla niego istnieją tylko biedni — sumienie ich pozostawia Bogu i kościołowi, do którego należą. Czynić dobrze, stało się potrzebą codzienną dla tego człowieka. Są, rzeczywiście, ludzie, których ustrój duchowy, psychologiczne właściwości — natura, wreszcie, indywidualna, pcha na pewną, wyłączną drogę, na którą inni tylko przypadkiem wchodzą, albo starają się systematycznie pomijać.

Nie taimy się z tem, że żydzi w Galicji, nietylko, nie mogą być brani, jako czynnik dodatni w społeczeństwie, lecz wprost przeciwnie się dzieje. Z tem większem uzna-

niem podnieść należy uczciwą i patrjotyczną działalność żydów na publicznych stanowiskach. W zakresie daleko sięgającego miłosierdzia, był takim u nas nieboszczyk Beiser — jest nim dziś Wilhelm Holzer.

Nie naszą rzeczą jest szczegółowo opisywać dobroczynną działalność Wilhelma Holzera — toby zajęło za wiele miejsca, a zresztą, po co te suche wyliczania, skoro całość działalności przedstawia się w sposób, przynoszący prawdziwy zaszczyt obywatelskiemu stanowisku i charakterowi Holzera, zaszczyt tem większy, że dr. Holzer wcale bogatym nie jest i tylko z osobistej uczciwej pracy, rozsiewa ziarna na polu miłosierdzia i humanizmu.

Zamieszczając artykuł powyższy, oraz wizerunek dr. Holzera, w piśmie szczerze katolickiem, którem jest »Goniec i Iskra«, dajemy dowód bezstronności i bezwarunkowego uznania dla istotnych cnót i zasługi, co zresztą płynie z ducha naszej religji, bo nawet głowa kościoła katolickiego błogosławi zawsze tym, którzy na polu miłosierdzia czynią dobrze, choć katolikami nie są. Lwowskich biedaków trzeba zapytać, co oni mówią o »tym miłosiernym żydzie«, jak rzesza łaknąca i pragnąca nazywa Holzera we Lwowie — dla izraelity, nazwa to, doprawdy, niezwykle zaszczytna, dla nas, dowód, że polak »mojżeszowego wyznania«, na wspomnienie którego, w ostatnich czasach, szczególniej i, coraz częściej, złośliwie się uśmiechają, nie należałby do marzeń, gdyby wśród żydów więcej było takich Beiserów*), i Holzerów, nie dla tego, aby tak, jak oni, że się tak wyrazimy, specjalnie uprawiali niwę miłosierdzia, bo to nie każdy, może i nie każdy umie, lecz, aby więcej, było łączników w społeczeństwie polskiem, w którem, ostatecznie, żydzi stoją zawsze na uboczu obojętni, albo, powiedzmy prawdę — szkodliwi. Takich, co razem z nami idą, pracują, śmieją się i płaczą — bardzo mało... tak mało, że... lepiej nie liczyć...

Od ręki.

— Głód w Indjach.

Głód w Indjach czyni straszne spustoszenia; pada tysiące ofiar. Już w poprzednich latach zbiory nie odpowiadały żyzności miejscowych gruntów, w obecnym jednak roku wszystko prawie zmarniało. Przyczyną tego ogromna susza.

Dla braku karmy dla bydła, pada ono w równej liczbie, jak ludzie, choć indjanie zrywają własne słomiane strzechy z dachów, byle jako tako je wyżywić.

Do głodu dołączył się brak wody. Niemniej ważnym powodem nędzy indyjskiej są uprzedzenia, przesądy i przywileje klas wyższych. Wedle tradycji, osoba wyższego stanu nie tknie się tego, czego używa przedstawiciel niższej warstwy społecznej, jako klasy nieczystej, skalanej, jako parjasów, t. j. ludu roboczego. Ztąd też domy wyższe nie korzystają ze studzień, przeznaczonych dla parjasów, a parjasy z kolei nie mogą czerpać z miejsc, przeznaczonych przywilejem dla wyższych stanów.

Obecnie głód przybiera takie rozmiary, jak w roku 1877, w którym to czasie umarło pięć milionów ludności.

W Indjach rządzą anglicy. Magazynów zapasowych nie ma, a gotówka, rozdzielana między zgłodniałych, nie usuwa śmiertelności.

— Niezwykły zegar.

Na wystawie powszechnej w Chicago, ukaże się między innymi zegar następujący: waży on 40 centnarów, ma 10 stóp wysokości i prócz godziny przypadającej na Chicago, podaje jeszcze odpowiedni czas w 12 wielkich miastach całego świata, a mianowicie: w Washingtonie, San Francisco, Pekinie, Konstantynopolu, Petersburgu, Londynie, Berlinie, Rzymie, Paryżu, Madrycie, Peszcie i Wiedniu. Każda godzina przynosi słuchaczowi dźwięki innej arji, granej do złudzenia niejako przez całą orkiestrę. Gdy muzyka umilknie, podnosi się z tronu figura naturalnej wielkości Jerzego Washington'a. Następnie inna figura, przed stawiająca służącego, otwiera drzwi, z których wychodzą wszyscy dotychczasowi prezydenci Stanów Zjednoczonych, przechodzą koło Washington'a kłaniają się i znikają w drugich drzwiach, które również otwiera służący. Całe godziny wybija śmierć, szkielet z kosą; każde trzy kwadranse mężczyzna dojrzały; pół godziny młodzieniec, a kwadranse dziecko. Jest to bardzo ładna i poetyczna alegorja.

— Siły zbrojne Niemiec.

W czasie wojny francuskiej, według obliczeń sztabu jeneralnego, armia niemiecka łącznie z oddziałami etapowymi, rezerwą i załogami w twierdzach liczyła 1,350,788 żołnierzy. W dwadzieścia lat później — według sprawozdania ministerstwa wojny, złożonego parlamentowi w r. 1890, na wypadek wojny stanąć miało 2,900.000 żołnierzy wyćwiczonych, przeznaczonych do służby, bądź w linii, bądź w rezerwie, bądź w obronie krajowej, bądź w pospolitem ruszeniu. Atoli to więcej niż dwukrotne powiększenie sił zbrojnych, nie zadawalnia niemców, bo na mocy nowej ustawy od r. 1890 począwszy, powiększono dalej liczbę żołnierzy tak, że armia liczy obecnie 3,850.000 żołnierzy wyćwiczonych; doliczywszy do tego wojowników zawodowych, t. j. oficerów i podoficerów stale służących, otrzymamy cyfrę bez mała 4,000.000, a więc trzy razy większą od cyfry podczas wojny francuskiej. Gdyby postępowano tak dalej wedle dotychczasowej ustawy i metody, wówczas za kilka lat liczba żołnierzy wzrosłaby do 4,350.000. W jakim stosunku jest ta cyfra do ogólnej liczby mieszkańców? Pytanie takie nasuwa się z konieczności, zwłaszcza gdy się zważy, że rząd rzeszy niemieckiej — jak wiadomo — zamyśla przeprowadzić nowy projekt o jeszcze większem pomnożeniu sił zbrojnych. Według spisu ludności z dnia 1 grudnia 1890 r., w całych Niemczech liczono razem 24,230.832 osób płci męzkiej. Z tej liczby około 8 i pół miliona w wieku obowiązujących do służby wojskowej; w porównaniu z tą cyfrą przeto liczba żołnierzy wyżej podana wynosi więcej niż połowę. Gdyby nadto rządowi udało się przeprowadzić nowe projekta wojskowe i na ich podstawie rocznie brało 75.000 ludzi więcej niż dotąd, wówczas po zupełnem wykonaniu nowej ustawy przyszło do tego, iż armia niemiecka (odliczywszy nawet 25 procent ubytku przez śmierć i kalectwo), powiększyłaby się o okrągłe 900.000 żołnierzy. Do armji należałoby wtedy $^3/_5$ wszystkich mężczyzn, będących w wieku pomiędzy 20 a 45 rokiem życia. Ale to jeszcze nie wyczerpuje całego wykazu ciężarów wojennych, bo w razie wielkiej potrzeby i z reszty mężczyzn, nieobjętych owym rachunkiem, młodzieńcy między 17 a 20 rokiem życia obowiązani są dostarczyć rezerw wojennych. — Gdyby przyszło zatem do wojny, a będzie ona wielką i długą jeżeli wybuchnie, wówczas 5 i pół miliona ludzi najsilniejszych odrywa się od zwykłej produktywnej pracy.

Starej pannie do albumu.

Gdym cię poznał przed laty, byłaś hoża.. młoda...
I wszystkich zachwycała twa piękność, uroda...
I wszyscy podziwiali twój uśmiech uroczy,
Twą kibić, twój buziaczek, twoje piękne oczy...

Och oczy!.. Ogień Etny gorzał w twem spojrzeniu,
A ja?... patrząc na ciebie, byłem w zachwyceniu...
I wtedy za twój uśmiech, oddałbym z ochotą:
Wszystko, (gdybym miał tylko) Kalifornii złota.

Lecz ty wiedziałaś dobrze, że nie miałem centa,
Nie stać mię było dla cię, na żadne prezenta...
Ja, zresztą, nie wiedziałem, że człek nawet kupi:
Za złoto wdzięk kobiety?!... Jakże byłem głupi?!

Och!... zachwycał mię wtenczas słodki śpiew słowika,
Marzyłem... by żyć z tobą — w chatce pustelnika;
Dziś — gdy głowa łysieje, reumatyzm łupi...
Śmieję się sam ze siebie!... Jakże byłem głupi?!

Ujrzawszy ciebie znowu po dwudziestu latach,
Gdy już nie myślę wcale o chatkach i kwiatach —
Twa buzia nie wydaje mi się taka słodka,
Przykro patrzeć na ciebie — widzę, żeś dewotka!

Głosik twój jakoś zgrubiał; zmarszczki na twej [twarzy;
W twych oczach ogień Etny, jakoś się nie żarzy;
O dziękuję ci Boże — że z nas nie jest para!
Lecz ja się ożeniłem, a tyś — panna stara!

A. Barański.

Bez Szczęścia.

Powieść

M. DZIKOWSKIEGO-CHAMSKIEGO.

(Drugie wydanie)

(Ciąg dalszy — patrz Numer 32.)

— Ale zkądże pani dzisiaj przyszło tak prelegować o miłości — zapytała Wikcia, nietyle zajęta wywodami pani Herminii, ile pochwycona jej dobrym humorem...

— Wiosna, wiosna, kochaneczko... O idź tam — rzekła wskazując parasolką — do tej alei, gdzie spacerują sami emeryci.. Jak zasiadają ławkę, to przedstawiają erę Chrystusa, 1876 lat, a posłuchaj o czem mówią? Każdy tam coś odgrzebie z dawnych sercowych pamiątek i ze zwiędłych kwiatów układa bukiecik wspomnień... Dopiero, gdy przyjdzie jesień i liście zaczną lecieć z drzew, wtedy rozprawiają o polityce ale na wiosnę nigdy, Boże uchowaj!... No, powiedz mi Wikciu, kochasz się, czy nie? zagadnęła dziewczynę Herminia, zwracając się do niej twarzą.

— Czy indagowanie ludzi w tej materji, także na wiosnę przypada — uśmiechając się, zrobiła zapytanie dziewczyna.

— O, wykręcasz się, nie odpowiadasz wprost na moje zapytanie; już to jedno stawia cię w podejrzenie...

— Pani w istocie posiada zdolności inkwirenta...

— Mniejsza o to; jeżeli się nie kochasz, to, pragniesz się kochać, bo któżby w twoim wieku nie pragnął tego — otóż ja mam dla ciebie chłopca...

— Któż to taki?...

— Chłopiec młody, piękny, niebardzo wprawdzie bogaty, ale mający bardzo ładną pozycję i zaręczam ci, że nawet twój opiekun, pan Karol, jak go pozna, nic nie będzie miał przeciwko temu, abyś poszła za niego...

Słowa te widocznie były powiedziane z wyrachowaniem, bo pani Herminia pilnie wpatrywała się w twarz Wikci, jakby chciała wybadać, jakie na nią zrobią wrażenie...

Wikcia trochę zarumieniła się i nic nie odpowiedziała.

Pani Herminia mówiła dalej:

— Panu Karolowi szczęśliwa zajaśniała gwiazda!.. To, czego od tylu lat szukał, nareszcie znalazł...

— Praszę pani, czegoż to pan Karol od tylu lat szukał? — zapytała dziewczyna głosem, w którym czuć było jakieś nienaturalne drżenie...

— A to cała historja, moja kochana!...

— Jakaż to historja?

— Pan Karol — mówiła Herminia nie spuszczając z uwagi najmniejszego poruszenia Wikci — kochał się jeszcze, gdy miał dwadzieścia parę lat w Marcie, która wtedy ma się rozumieć była panną Martą.

*) Beisera również zamieściliśmy portret przed laty, zaraz po jego zgonie. (Przyp. Red.)

— W hrabinie Wrońskiej?

— W tej samej. Marta przynaglona była iść za mąż za hrabiego, którego nienawidziła; po śmierci rodziców Marty, zdołano przeprowadzić rozwód. Dziś jest wolną... Karol ją kocha jeszcze bardziej, bo przekonał się, że Marta ani na jednę minutę nie przestała go kochać... Porozumieli się więc łatwo... Miłość zamknięta w sercu Karola, wybuchła z tem większą siłą... Jedna tylko rzecz stoi im na przeszkodzie, bo widzisz Karol jest chłopak uczciwy i skrupulat wielki...

— Cóż to za przeszkoda? odezwała się cicho Wikcia, jakby kamień przywalił jej piersi...

— Tą przeszkodą... jesteś ty, moja Wikciu...

— Ja?.. — wyszeptała dziewczyna.

— Bo widzisz, Karolowi się zdaje, że ma dla ciebie jakieś obowiązki, że wychował cię z tym zamiarem, aby się z tobą ożenić, że...

— Przepraszam panią — pan Karol nigdy mi tego nie mówił — przerwała Wikcia z godnością, spoglądając na panią Herminię tak dumnie, że ta pomimowoli odsunęła się trochę od niej...

— Ależ ja wiem, że nic o tem nie mówił — i wiem o tem, że tybyś nawet za niego nie poszła, choćby ci ofiarował swoją rękę.. Ale widzisz...

Wikcia podniosła się dość żywo z ławki... Herminia zamilkła.

— Żegnam panią — muszę już odejść. Skinęła na służącą, która stała opodal i szybko oddaliła się w stronę Królewskiej ulicy.

Rozdział VIII.

Karol zdecydował się nareszcie na krok stanowczy. Sytuacja wymagała tego koniecznie. Wikcia skończyła lat siedemnaście, a chociaż w sercu młodego człowieka z pod popiołów dawnych wspomień wychylała się imponująca pięknością postać Marty — i nie bez pewnego odcienia żalu przychodziło mu rzucić zasłonę zapomnienia na tę postać — jednak instynkt serca ciągnął go gdzieindziej, w stronę Wikci, która wywierała na niego wpływ dziwnie harmonijny i spokojny, a on tak pragnął spokoju...

Znalazła się po temu chwila stosowna. Karol i Wikcia znajdowali się sami w saloniku pani Słowikowskiej. Ktoby się uważniej przypatrzył dziewczynie, dostrzegłby pewną zmianę nietylko w jej twarzy, ale w całem zachowaniu się. Karol tego nie dostrzegł, bo zanadto przyciśnięty był wrażeniami. Przez chwilę patrzył się na dziewczynę, która siedziała przy oknie zamyślona, spoglądając na ulicę... Wyglądała smutno...

— Dla czego to Wikcia taka dziś smutna?... — zapytał, przysuwając się z krzesłem do niej...

— E, nie — czy doprawdy smutno wyglądam?...

— Bardzo smutno...

— To przepraszam, będę wesołą... — rzekła złożywszy usta do uśmiechu, który jednak nie wybiegł jej na usta.

— Czy to wesołość może tak przyjść na zawołanie?

— Ach, jeżeliby to komu miało zrobić przyjemność, dla czego nie...

— Zresztą nic nie szkodzi, że Wikcia dzisiaj jest poważną...

— Dla czego?...

— Bo dziś właśnie mamy mówić o rzeczach bardzo poważnych.

Dziewczyna zadrżała...

— Nieraz Wikcia kazała mi się patrzeć w oczy... ja teraz proszę patrzeć mi się prosto w oczy...

Wikcia spojrzała mu w oczy tak pogodnie, niewinnie i tak rzewnie, że Karol wziął ją za rękę i zanim ta się spostrzegła, przycisnął ją do ust... Dziewczyna zarumieniła się jak wiśnia, wyrwała szybko rękę i drżącym głosem szepnęła:

— Proszę tego nie robić...

— Czy to ci przykro?...

— Nie, ale...

— Ale co?...

Dziewczyna milczała.

— Pomówmy na serjo.. Pochlebiałem sobie, moja Wikciu, że kiedy już dziś możesz patrzeć się na wszystko, jak dojrzała kobieta, umiałaś zapewne dostrzedz, że opieka, jaką cię otaczam, ma pewne głębsze pobudki...

— O, panie Karolu! — przerwała Wikcia, spoglądając na niego wzrokiem, w którym się malowała wdzięczność.

— Czas jest, aby przyszłość twoja w zupełności zabezpieczoną została... Abyś się zapytała serca, czego pragnie i jeżeli pragnie... dać mu zadośćuczynienie...

Po głowie dziewczyny przeleciała myśl, która na szerokiej arenie życia ludzkiego nazywa się dyplomacją... Tylko, że dyplomacja w ogóle rzadko kiedy ma na widoku cel zacny, a dyplomacja Wikci była szlachetna i przynosiła na ołtarz cudzego szczęścia ofiarę ze swych najdroższych uczuć... Unikając więc wzroku Karola, dyplomatyzowała dziewczyna...

— Moje serce, oprócz pamięci, którą nawet do grobu z sobą zabiorę... nic więcej nie pragnie...

Karol zatrzymał się... W myśli zadrgało mu jakieś nie dające się na razie pochwycić przypuszczenie... coś nieujętego... Milczał chwil kilka.. Widocznie walczył ze sobą...

— Nie kocha mnie — pomyślał w duchu i w jednej sekundzie stanęła mu przed oczyma piękna postać Marty ze łzami w oczach i wyciągająca do niego ręce... Słowa Wikci, choć były dla niego niespodzianką, nie zabolały go jednak... Młody człowiek pod wpływem dawnych wspomień i świeżych wrażeń, uczuł pewną ulgę i prawie był kontent, że rzeczy taki obrót biorą... W głowie mu zaszumiało, w sercu zagościł jakiś dziwny niepokój, ale Marta wciskała się pomiędzy myśli i zwolna opanowała je zupełnie...

— Tak — myślał — nie mogę gwałcić serca tej zacnej dziewczyny, dla tego, że jej wyświadczyłem dobrodziejstwo — to byłby despotyzm i nadużywanie mojego wpływu i pozycji względem niej.

Po chwili odezwał się głośno:

— Moja Wikciu, mówiłem tak dla tego, że mam dla ciebie pewne obowiązki i bądź przekonaną, że nigdy nie przestanę być twoim opiekunem... choćby nie wiem jakie stanęły mi na drodze przeszkody...

To powiedziawszy, szybko zakręcił się i wyszedł.

Wikcia pozostała sama. Chwyciła się rękami za serce i tak stała przez chwilę... nie wydając prawie żadnego tchnienia... Z oczów nie wychyliła się ani jedna łza, znać wszystkie zbiegły się do serca biednej dziewczyny, która z rzadką siłą charakteru umiała zapanować nad sobą; ale po paru minutach ból pochwycił ją tem silniej w żelazne kleszcze i Wikcia na wpół nieprzytomna, upadła na kozetkę, nie wydawszy najmniejszego jęku...

Tak przeleżała z dziesięć minut... Powstała nareszcie, była blada, ale spokojna. Poczęła zbierać myśli... W zachowaniu Karola było coś nieodgadnionego, czego sobie wytłumaczyć nie mogła. Zdawało jej się, że Karolowi ręka drżała, gdy się dotykał jej ręki, na której czuła jeszcze pocałunek ust jego...

— Dla czego on mnie pocałował? myślała dziewczyna. — Żal mu było, że mnie porzuca, trochę się przyzwyczaił do mnie, ale mnie nie kocha... On ją kocha... I gdybym otwarcie powiedziała mu, co czuję, możeby z litości poślubił mnie... Z litości tak, bo on jest bardzo szlachetny... Onby to sobie uważał za obowiązek... Zatrułby sobie życie... bo on ją musi bardzo kochać... On ją już od dawna kochał... Krył się z tem... nie był pewny, nie widział jej... a teraz gdy ją zobaczył... On musi być szczęśliwy, chociażby kosztem mojego spokoju i szczęścia... On taki szlachetny... Gdybym mu była przeszkodą, popełniłabym grzech śmiertelny... Ja mu nie będę przeszkodą — nie... Ja się usunę, żeby nie miał najmniejszych skrupułów... A jeżeli to mi się tylko zdawało? Jeżeli on mnie kocha?...

To pomyślawszy, zbliżyła się do okna, które wychodziło na plac św. Aleksandra. Z za rogu domu wyszedł Karol. Wikcia go spostrzegła. Zaledwie skręcił na plac, szybko koło niego przejeżdżający ekwipaż stanął. W powozie siedziała Marta. Karol zbliżył się do stopni pojazdu; młoda kobieta wyciągnęła do niego rękę. Karol stał przy powozie, widocznie rozmawiali z sobą. Wikcia poznała Martę... Po chwili Karol żegnając się z hrabiną, pocałował ją w rękę i skręcił na Bracką ulicę, a powóz potoczył się ku Belwederskiej alei...

Wszystkiemu temu przypatrywała się z okna Wikcia. Było to jakby odpowiedzią na zrobione sobie pytania. Dziewczyna odeszła od okna, była jeszcze bledszą i jeszcze spokojniejszą... Na czole jej wyraźnie zawisło jakiejś niezłomne postanowienie. Wyszła po cichu z salonu, a zobaczywszy, że w mieszkaniu nie ma nikogo, bo pani Słowikowska gdzieś była na mieście, udała się do swego pokoju i drzwi na klucz zamknęła. Są chwile, w których człowiek potrzebuje samotności, zwłaszcza, gdy sobie coś nieodwołalnego postanowił...

(Dokończenie nastąpi).

Kroniczka.

(Z dziejów łez, bolu i wykolejenia...)

W Warszawie umarł ś. p. Aleksander Niewiarowski, który w ostatnich latach swojej literackiej działalności, pisał pod pseudonimem **Półkozica** i znany był na ostatku więcej redakcjom warszawskim, aniżeli czytającej publiczności. Lwowskie pisma codzienne, powtórzyły niedokładne wiadomości o zmarłym, za pismami warszawskiemi, a te znowu z powodów cenzuralnych nie mogły o Niewiarowskim tego napisać, co należało. Aleksander Niewiarowski był obdarzony niepospolitym talentem powieściopisarskim, a jako fejletonista w dawniejszych czasach, słynął z wielkiego dowcipu i ciętości piórą. Jego powieści, jak **Laookon**, **Rotmistrz bez roty** i kilka

Na próbę...



— Proszę pana — pan się oświadczył rodzicom o moją rękę — ale pan dla mnie za stary...
— To się tak zdaje...
— Udzielę panu dobrej rady...
— Jakiej?
— Ożeń się pan z inną, a jak pan owdowiejesz, to zobaczę...

---

innych, w swoim czasie ogromnie były poczytne, a fejletony, które pisał w Gazecie Warszawskiej pod znakiem gwiazdki, cieszyły się w całej Polsce wielką popularnością. Jako samodzielny redaktor, a był nim na krótko Niewiarowski dwa razy (Gazeta Codzienna i Pszczoła), okazał się nie na swojem miejscu. Ale w życiu i działalności ś. p. Niewiarowskiego, jest jeden fakt, który, właśnie, pominięto, a który w latach już dojrzałych tego pisarza, zwichnął jego karjerę literacką i podgryzł całą egzystencję moralną i materjalną. Gdy po pogromie w r. 1863, po rządach margrabiego Wielopolskiego, który opuścił kraj i przeniósł się do Drezna, znany Pawliszczew, prezes warszawskiej cenzury, objął zarazem redakcję Dziennika Warszawskiego, wychodzącego wówczas po polsku, Aleksander Niewiarowski i Ćwierczakiewicz (brat męża Lucyny Ćwierczakiewiczowej), wstąpili do redakcji Dziennika Warszawskiego, jako główni i jedyni współpracownicy z całego warszawskiego świata literackiego; twierdzą niektórzy, że już zmarły także i wielkich zdolności krytyk i estetyk Henryk Lewestam, zasilał również potajemnie Dziennik Warszawski swojem piórem, za Pawliszczewa, ale to faktycznie stwierdzonem to nie zostało. Wówczas to Dziennik Warszawski wysilał się na zohydzanie tego, co nam drogie, co nas bolało i poniewierał te łzy, które się lały potokiem nad świeżemi jeszcze mogiłami... Tej niecnej robocie pomagały ohydne korespondencje ze Lwowa, z Zurycha i z Paryża, które pisali wyrzutki polskiego społeczeństwa. Można sobie wyobrazić, co opinja publiczna w Warszawie mówiła o Niewiarowskim, który wstąpił do takiej redakcji Dziennika Warszawskiego. Od razu zamknięto mu drzwi wszystkich domów, a na ulicy unikano z nim styczności — pospólstwo zaś warszawskie, jak wiadomo, na wskróś patrjotyczne, zapalne, nieprzebierające w wyrażeniach, gdy go coś zaboli, chórem wołało: „Niewiarowski zdrajca, szpieg, moskal!“ Ale prawdę powiedziawszy, Niewiarowski nie był niczem innem tylko człowiekiem słabego charakteru, który się ułakomił na dobrą pensję, a w rzeczywistości bardzo mało co robił w Dzienniku Warszawskim i najczęściej zajęcie jego ograniczało się na pisywaniu recenzyj teatralnych, a tak się w tem zaniedbywał, że często zdarzały się wypadki, iż pisał o sztukach, które jeszcze nie były grane na scenie, tylko zapowiedziane i w skutek choroby jakiego aktora odłożone na inny dzień. Opuścił się już wówczas, gryzł się, zapominał i.. zalewał robaka. Ani Niewiarowski, ani Ćwierczakiewicz, z największą pewnością nie napisali w Dzienniku Warszawskim jednego wyrazu podłego na społeczeństwo polskie, choć byli tam w rędakcji — robił to sam Pawliszczew i inne pismaki z zagranicy — ale opinja publiczna w Warszawie i w całem zaborze rosyjskim, rzuciła kamieniem potępienia na Niewiarowskiego tem silniej, że on był kiedyś jej ulubieńcem.

Później, gdy i Pawliszczew odszedł i Dziennik przemienił się na Dniewnik, Ćwierczakiewicz umarł, a Niewiarowski popadł w niedostatek materjalny, brać literacka w Warszawie — ludzie, rzeczywiście, przezacni — ludzie charakteru, serca i wyższych umysłów, o czem we Lwowie światek literacki pojęcia nawet nie ma, bo tu jest najwięcej, właśnie, bez serca, bez charakteru i z poziomym umysłem — brać warszawska, powtarzam przebaczyła Niewiarowskiemu ten błąd jego życia, przygarnęła go do siebie i wówczas to Niewiarowski zaczął pisywać, jako Półkozic To już były ostatnie lata jego działalności literackiej, wśród których zmarła mu zacna żona, syn zmarła utalentowana córka i on, nareszcie, zgorzkniały, przygnębiony, położył się do grobu w 68. roku swego życia..

Takie były literackie dzieje jednego z najzdolniejszych literatów polskich ostatniej doby.

Teatr — koncerta — widowiska.

Nasze anioły — tak zatytułował pan Michał Wołowski 3. aktową komedję, w tym czasie na lwowskiej scenie przedstawioną, a o której w poprzednim numerze zrobiliśmy już króciutką wzmiankę. Po raz pierwszy spotykamy p. Wołowskiego na scenie, ale nie po raz pierwszy na polu literackej działalności — jako komedjopisarz przyniósł więc on już z sobą rutynę autorską, pewien zasób doświadczenia literackiego i, bez wątpienia, talent. *Nasze anioły* po części zarywają z tego wszystkiego, czem pan Wołowski, jako literat rozporządza, ale miarą, jego talentu nie są i nie powinny być... Jest to praca, przedewszystkiem, luźna i zszyta, nie tworzona — zszyta zaś ręką.. dość wprawną, ale podług kroju nie swojego. Mniejsza o to, że *Nasze anioły* nie są komedją, lecz farsą, ale w tej farsie nie widać typu autorskiego, samoistnego, ani w pomyśle, ani w obrobieniu sytuacyj, ani w rysowaniu postaci, ani w podkładaniu tła życiowego.. Tylko ruchu jest dużo, ale i ten więcej gorączkowy, jak naturalny, więcej mechaniczny, jak z kolizyj temperamentów wynikający — niejednokrotnie zdaje się, że autor siedzi za kulisami, kręci korbą i skacze to wszystko na drutach czasami bardzo komicznie, śmiesznie i pociesznie... Autor *Naszych aniołów* sam nawet nie wie, jakim sposobem nastąpiły pewne zobowiązania względem tego, lub owego autora, ale faktem jest, że się im p. Wołowski dobrze zadłużył... Postać Amońskiego, jest, na upartego, wyłączną własnością autora *Naszych aniołów* — w pomyśle wcale dobra, ale ją p. Wołowski zmarnował, a na końcu spospolitował i zrobił z Amońskiego deklamującego pisarza proweutowego. Cała scena w 3. akcie z Jadzią, z płaczem, z nerwami, z opowiadaniem o zagłodzonej matce, smakowała, jak lukrecja po ostrym kapuśniaku i na dobitkę Amońskiego grał p. Trapszo, aktor, w ogóle, nie bez pewnych zdolności, ale bez nerwu dramatycznego i bez akcentu głębszego uczucia — oczywiście, nie mógł temu biednemu chłopakowi pomódz, tak, jak pomogli dzielną grą panowie: Fiszer i Żelazowski, oraz panie: Żelazowska, Czaplińska i Stachowicz. Inne role starannie zostały odegrane przez panie: Gostyńską, Cichocką, German, Otrembową, Rybicką, pana Hierowskiego i innych. Zauważyć jeszcze należy, że rodzaj morału w końcowej scenie, czy też autorskiego resumé w ustach podkochanego fagasa i podkasanej pokojówki, nie jest dowcipny, a tak ogródkowy że tylko brakuje jeszcze kupletu do „szanownej publiczności“. — Możnaby to bezpiecznie odstąpić operetce...

Wznowienie dobrze znanej i ogranej sztuki z francuskiego tłomaczonej: *Głośna Sprawa*, dała sposobność panu Żelazowskiemu w głównej roli do okazania wszystkich zalet swego znakomitego talentu, równie, jak i pani Żelazowskiej. Inne role pozostały, mniej więcej, w takiej samej obsadzie.

W ostatnich dniach przedstawiono na lwowskiej scenie francuską operetkę Varnay'a p. t. *Lirniczka z Sabaudji*, która, właściwie, jest wodewilem i nosi nawet niemało zalet takiego utworu. *Lirniczka z Sabaudji*, pod względem kompozytorskim, robi przyjemne i świeże wrażenie, a tło ludowe i zabarwione pewnego rodzaju fantazją i poezją, czynią ten utwór wcale sympatycznym zwłaszcza, że i libretto jest dowcipne i dosyć zręcznie ułożone. Dwa pierwsze akta, są lepsze od dwóch ostatnich — najsłabszy trzeci akt. W pierwszym akcie ładne są chóry z dzikim nieco kolorytem, oryginalnym i bardzo sympatycznym.

Tytułową rolę grała pani Kliszewska grała ją ślicznie, śpiewała ślicznie i wyglądała ślicznie.. Miękki organ mowy artystki, jak, łagodne dźwięki liry głaszcze po sercu... Ta „lirniczka“ w rzędzie operetkowych i wodewilowych kreacyj jest rzadkością — jest to uczciwa dziewczyna, broniąca swojej cnoty, jak lwica, i wzywająca Boga na pomoc... To się, zazwyczaj, w operetkach nie dzieje...

Dwie postacie komiczne: notarjusza i flecisty, znalazły, ma się rozumieć, dobrych wykonawców w panach: Skalskim i Myszkowskim.

Dobrze śpiewał i dobrze grał pan Jerzyna młodego, zakochanego sabaudczyka.

Pani Radwan z niebardzo smacznej roli romantycznej żony notarjusza, wiele zrobić nie mogła, ale to, co mogła — zrobiła.

Melodramatycznego „kawalera“, co przegrał cudze pieniądze i za to płaci fiołkami, odegrał p. Gasiński z powagą operetkową.

Chóry dobrze śpiewały, dobrze grały i, w ogóle, zdradzały energiczną i umiejętną rękę reżyserską.

Mnóstwo innych rolek, pomiędzy któremi znalazła się także jakaś drobnostka nawet dla pani Kasprowiczowej — odegrano starannie.

Słychać...



— Magdusiu, to nie dobre jajko..
— Dlaczego?
— Słychać go...
— A bo to tam kto jajko do ucha przykłada..

Na ulicy...



— Widzisz! — jaka cienka! jaka zgrabna! u nas w polu na wsi — toby ją wiatr złamał...
— Nie bój się! już ona sobie z każdym wiatrem da radę...

Fedora znana oddawna „sztuka“ Wiktoryna Sardou, po pewnym spoczynku w teatralnej bibliotece, pokazała się znowu na lwowskiej scenie i zagrała trochę na nerwach poodkręcanych przez życie i użycie..

W sztuce tej pełny tryumf artystyczny święcili państwo Żelazowscy, jako główni bohaterowie dramatu. Inne role nie uległy prawie zmianie w obsadzie, a jeśli zaszły jakie, to tak małe, że na wykonanie samej rzeczy, wcale nie wpłynęły. — zresztą, oprócz dwóch głównych postaci: Fedory i Ipanowa— wszystkie inne, to tylko przystawki.

Są temata już tak otrzaskane, omówione i opisane na wszystkie boki, że, aby je ożywić, ujaskrawić, zrobić do pewnego, przynajmniej, stopnia, interesującymi — trzeba niezwykłego talentu literackiego. Na taki, właśnie, temat zabrakło talentu panu Wołowskiemu w *Chamskiej duszy*, 4aktowej komedji świeżo w naszym teatrze wystawionej. Bardziej banalnych awantur, sytuacyj, scen i podług tendencyjnego formularza ułożonych kazań z pretensjami apostolstwa w zakresie parafji — jakie znajdują się w *Chamskiej duszy*, nieprzypominam sobie, abyśmy gdzie spotykali... Takie obrobienie literackie dla demokratycznej tendencji jest ciosem i, gdyby za obrońców i szermierzy społeczna demokracja podobnych miała pisarzy, jak autor *Chamskiej duszy*, nie pozostałoby z niej strzępów na obwinięcie palca... Pan Wołowski wysilił się na „oryginalny“ stosunek ojca z synem, tak oryginalny, że brakowało tylko, żeby ojciec przy konającym synie (bo i to jest na scenie) gwizdał sobie jaką arjetę z *Nitouche*... „Od szlacheckiej duszy“, według ścisłej demokratycznej arytmetyki p. Wołowskiego, tem się różni „chamska dusza“, że ma „mocniejsze płuca i silniejsze mięśnie“... Jakie to głębokie aż kręci... w nosie...

Powyżej nieco, znajduje się sprawozdanie z *Naszych aniołów* tegoż autora — pisząc je rezerwowaliśmy się wiedząc, że w najbliższym czasie ma być wystawiona *Chamska dusza*, komedja, jak niosła fama ze świata teatralnego, „głębsza“ — owoż, po zmierzeniu tej „głębokości“, stanowczo twierdzimy, że talent pisarski pana Wołowskiego na polu dramatycznem zdobyć się tylko może na mierną robotę, a *Chamska dusza* żadnej zgoła nie posiada wartości, usuwając się z pod prawdziwej krytyki, jako utwór tak banalny pod względem tendencji, a tak słaby pod względem literackim, że można się nad nim litować, ale pastwić nie należy...

Słówko jeszcze o grze artystów. Dwie niby główne role: Żarskiego i Czaplica odegrali panowie Żelazowski i Zawadzki z całą starannością artystyczną, cechującą niezwykłe aktorskie talenta, chociaż, i jedna, i druga postać siły na życie sceniczne nie miały za trzy grosze. Po co pan Fiszer grał ojca, figurę, ani charakterystyczną, ani komiczną — żadną — tego pojąć nie możemy. Literata, któremu krytyka „dowiodła, że jest osioł“ — wplątał p. Wołowski w *Chamską duszę*. Może krytycy i to poznańscy, za surowo osądzili tego „Wacka“ — ale te jego literacko-filozoficzne morały np. o dziesięciu talarach i objedzie, o pasztecie i kartoflu, o „chamskiej duszy“ i inne elukubracje, pozwalają przypuszczać, że krytycy poznańscy mieli słuszność... Tego literata grał dobrze p. Chmieliński. Trzy role kobiece, w których absolutnie nic nie było do wyzyskania, grały panie: Żelazowska, Stachowiczowa i Gostyńska. Jakichciś chłopów, z których, jeden zabił żonę przed 18-tu laty, a w *Chamskiej duszy*, jest apostołem demokracji i ma chrapkę córkę własną zamordować — ni przypiął, ni przyłatał — grali bardzo starannie panowie: Hierowski, Szobert, Dębicki i Jaski. Ten ostatni, młody i dopiero rozpoczynający zawód aktorski, posiada piękny organ mowy i zacięcie artystyczne — dyrekcja, czy reżyserja, powinna baczną zwrócić uwagę na tego młodego aspiranta, bo z tej mąki, może być dobry chleb...

Bez tytułu...

W piśmie „Goniec i Iskierka“
Widzę tyle pięknych myśli,
Że nie straszy mnie usterka,
Gdy ją moje pióro skreśli...
Boć nie pióra jam szermierzem,
I Pegaza nie znam zwrotów,
Ani błędnym też rycerzem —
Małą mrówką, wśród kłopotów,
Biedną mrówkę na swej ziemi
Co rodzinny kopiec miała,
A ten kopiec wraz z innemi,
Obca ręka rozerwała...
Więc się chylę ku „Iskierce“,
Co mi miło lśni
I otworzę czasem serce,
W imię lepszych dni!..
I poproszę tego „Gońca“,
Co ma szybki lot —
Niech obieży kraj do końca,
Nada mrówkom zwrot...
Niechaj pracą wśród jedności
Staną wszystkie wraz,
Zgarną kopce do całości,
Bo już wielki czas!...
Świeć „Iskierko“, w tej podróży,
W imię Boga — świeć!...
Toż nam gwiazdka dobrze wróży...
A więc „Gończe“ leć!...

H. nad Sanem.

Skandale w Londynie.

W najwyższych sferach towarzystwa angielskiego, wydarzył się niedawno następujący skandal. Pani Oliwia Leader, żona lejtnanta piechoty, wytoczyła sprawę o oszczerstwo żonie dymisjonowanego generał-majora, pani Eleonorze Smyth. Sprawa ta zajęła sądowi trzy posiedzenia, na których sala sądowa podobniejsza była do sali koncertowej, niż do przybytku sprawiedliwości, zebrał się w niej, bowiem, cały elegancki świat Londynu. Panie Leader i Smyth, dość młode jeszcze i przystojne kobiety, żyły z sobą oddawna w przyjaźni. Pewnego dnia po wizycie pani Leader. pani Smyth dostrzegła brak broszki ozdobionej drogimi kamieniami. Na krótko przed tem odkryciem, pani Leader wyjechała do Bombayu, gdzie mąż jej stoi załogą i pieniądze potrzebne na podróż w sumie 6.500 fr. podniosła z banku w obecności swej przyjaciółki, pani Smyth. Pewnego dnia pani Smyth, robiąc sprawunki w mieście, wstąpiła do jubilera, u którego dostrzegła broszkę podobną do tej, która jej zginęła. Jubiler oświadczył, iż broszkę nabył od jednego ze swych klientów, zajrzał do książki i oświadczył, że owym klientem była p. Leader.

— A więc przypuszczenia moje były trafne — rzekła pani Smyth — moja przyjaciółka jest złodziejką. Jubiler, któremu nic w tej sprawie nie można było zarzucić, oddał broszkę, a prywatni agenci rozpoczęli śledztwo. Wówczas pani Smyth napisała do pani Leader list, w którym zażądała zwrotu 125 franków, zapłaconych agentom śledczym i w razie niespełnienia tego żądania groziła, że zawiadomi o wszystkiem policję. Pani Leader wręczyła list mężowi, który niezwłocznie wyjechał do Londynu i wytoczył sprawę pani Smyth. Pani Leader wyjaśniła, że broszkę ofiarował jej jako podarek ślubny niejaki kapitan Franck, dziś już nieżyjący, że fabryka, z której pomieniona broszka pochodzi, wyrobiła zupełnie podobnych do niej sztuk dwanaście i w końcu, że broszka, którą pani Smyth uważała za swoją własność, nie posiada niektórych znaków przez nią samą wskazanych. Sąd po krótkiej naradzie skazał panią Smyth na zapłacenie tytułem odszkodowania za oszczerstwo 12 000 fr. i 38.000 fr. kosztów sądowych. Podobno pani Smyth oddawna żywiła do swej przyjaciółki nienawiść i użyła przeciwko niej środka, który opłaciła 50,000 franków.

Inny skandal, mniej głośny, lecz nie pozbawiony charakterystycznych rysów, wydarzył się w wyższych sferach towarzystwa londyńskiego. P. Grzegorz Maxewell wydał czek na 125,000 franków markizowi Ailesbury, lecz w oznaczonym terminie odmówił wypłaty tłómacząc się, że należność pochodzi z długu karcianego.

Sąd przychylił się do żądania Maxewella i uwolnił go od zapłacenia 125,000 franków, lecz co sądzić o parze Anglii, który w taki sposób pozbywa się swoich zobowiązań?

Jeszcze jedną ciekawą sprawę mamy do zanotowania z dni ostatnich. Wytoczyła ją siostra wielkiego męża stanu irlandzkiego, pani Alicja Parnell, właścicielce hotelu d' York. Panna Parnell, przybywszy w nocy do pomienionego hotelu, gdy cena 25 franków za pokój wydała jej się dość wysoką, zaczęła się targować, co tak rozgniewało właścicielkę hotelu, iż bez ceremonii kazała służbie tej samej nocy wpakować rzeczy i pannę Parnell napowrót do dorożki. Za tę gościnność właścicielka hotelu zapłaciła 500 fr. kary

W Anglji parasol bywa sprzętem codziennego użytku. Rzadko kto bez niego wyrusza na ulicę, pogoda bowiem zmienia się często kilka razy na dzień w Londynie. Niedawno na właścicielkę pięknego parasola, panią Luizę Squire, na jednej z ludniejszych ulic stolicy napadł olbrzymi dog i wyrwawszy jej parasol z ręki, zmykał co sił. Pani Squire daremnie robiła starania, aby dogonić czworonożnego złodzieja. Policjant, który był świadkiem tego zdarzenia, puścił się w pogoń i ujrzał doga, uciekającego z parasolem za małym powozem, który oddalał się szybkim kłusem. Powóz zatrzymano, lecz jadący w nim niejaki Fryderyk Hampton, handlarz ryb wraz z żoną, zaręczył, iż pies nie należy do niego. Przezorny

policjant dopełnił rewizji w powozie i znalazł w nim kilkanaście parasoli. Aresztowano więc Hamptona i psa, który padł ofiarą nadmiernego upodobania do parasoli, jakie miał jego pan. Pierwszy z nich odsiedzi kilka tygodni w kozie, psa zaś odesłano do przytułku, umyślnie dla psów założonego w Londynie.

Ciekawe rzeczy.

Hrabia Divonne w Paryżu zamieszkały, jako głuchoniemy, ożenił się z panną Nampére de Champagny, również głuchoniemą. Z tego związku małżeńskiego urodziło się troje dzieci i te mówią i słyszą zupełnie dobrze.

Chinczycy w Europie. Pisma francuskie zapytują z niepokojem, czyżby już nastąpił okres najścia chińczyków na Europę. Do Seraing w Belgji przybyła obecnie partja synów niebieskiej ojczyzny, złożona z 12-tu osób: podzielono ich na dwie części, dając jednej zajęcie w stalowni, drugiej przy piecach hutniczych. Robotnicy, jednak, miejscowi nie są zachwyceni, ani jednymi, ani drugimi.

Następujące liczby, dają nam miarę o wspaniałości uroczystości otwarcia wystawy powszechnej w Chicago. Gości do Chicago przybyłych liczono do 340 tys., w pochodzie stowarzyszeń cywilnych uczestniczyło około 80 tys. osób: na ulice wyległo ludu jak obliczono 750 tys., śniadań podano w restauracjach na wystawie 69 tys., w hali rękodzieł miejsc do siedzenia było 75 tys., a do stania 40 tysięcy; chóry z orkiestrą składały się z 5,200 wykonawców.

Praktyczne wiadomości

Sposób oszczędnego prania bielizny podaje techniczne biuro Lüdersa w Zgorzelicach następujący: rozpuszcza się dwa funty mydła w 13 litrach wody i do tego ługu dodaje się łyżkę stołową terpetyny, oraz 3 łyżki amoniaku. W tym roztworze moczy się brudną bieliznę przez 2—3 godziny, przyczem kocioł, albo wannę należy szczelnie pokryć. Poczem się pierze z oszczędnością pracy i paliwa; brud łatwo schodzi z bielizny, nie potrzeba zatem wielkiego tarcia. Terpetyna i amoniak ulotnią się zanim bielizna uschnie, nie pozostawią zatem wcale nieprzyjemnego odoru.

Celem przezimowania jarzyn, zaleca się następujący tanością i łatwością użycia, oraz praktycznością odznaczający się środek. Od połowy do końca listopada, stósownie do pogody, jarzyny przeznaczone na przezimowanie, wyrywa się z korzeniem, obiera z luźnych liści, zostawiając tylko silnie przylegające, stawia się korzonkami do góry obok siebie w brózdach 36 cm. wykopanych głęboko, w zakrytych, najlepiej obok mieszkań położonych miejscach. Następnie brózdy się zasypują w ten sposób, żeby korzonki z ziemi wystawały, które przed mrozem ochronić należy lekką warstwą suchych liści, lub barłogu. W ten sposób nawet podczas wilgotnej zimy, trzymają się jarzyny świeżo do końca kwietnia.

Prosty sposób karczowania drzew. Zwykle praktykowany sposób karczowania drzew za pomocą wykopywania, często wymaga wielu zachodów i nie zawsze się opłaca. W skutek tego uważamy za stósowne wskazać sposób karczowania lasów w Ameryce, odznaczający się prostotą, taniością i dokładnością. Wyrębują na jesieni drzewo przy samej powierzchni ziemi, w środkowej części pozostałego korzenia robi się otwór mający $1^1/_2$ cala średnicy, 10—20 cali głębokości. W otwór ten wsypują 4—6 łutów saletry, dolewają wody i zatkawszy to wszystko drewnianym korkiem, lub klinem, pozostawiają w spokoju do wiosny. Na wiosnę korek wyjmują, nalewają w otwór nafty i podpalają; korzeń przy tem spala się zupełnie na popiół, pozostaje więc przekopać, lub przejechać pługiem, jeżeli karczowanie miało miejsce na dość dużej przestrzeni, co nie przestawia jednak najmniejszej trudności, gdyż wszystkie korzenie zostały przemienione w popiół. Ten sposób karczowania lasów ma dwojakie pierwszeństwo przed wykopywaniem; wypalanie nie tylko jest łatwiejszem i połączonem z mniejszą stratą siły roboczej, lecz i daleko dokładniejszem, gdyż przy wykopywaniu, zawsze zostają w ziemi jakieś korzonki, które przy sprzyjających warunkach, mogą wyrastać, czego przy amerykańskim sposobie karczowania, być nie może, ponieważ korzenie zostają spalone całkowicie.

Niszczenie pchły ziemnej. Chrząszczyk ten, znany z nadzwyczaj silnego skakania, wyrządza wspolnie z innemi tego rodzaju owadami wielkie szkody w burakach i innych podobnych jarzynach. Zarówno chrząszczyk, jak i gąsieniczki jego obgryzają liście wspomnianych roślin tak żarłocznie, że zaledwie żeberka z nich pozostaną. D. Hollrieng z Halli, naczelnik tamtejszej stacji próbnej ochrony roślin od owadów, wynalazł bardzo dobry środek niszczenia muszek ziemnych, który na szerszych przestrzeniach okazał się wielce skutecznym. Napełniwszy płytkie naczynie porcelanowe wodą, wlewa się do niej cieniutką warstwę oleju rzepakowego i trochę eteru pszczelnego. W przeciągu dni trzech, płyn ten przepełniony bywa owadami tak, iż dr. Hollrieng naliczył w naczyniu, niemającem więcej jak 600 centymetrów powierzchni kwadratowej, przeszło 3000 pcheł ziemnych, a oprócz tego mnóstwo robaków, motyli i różnego rodzaju owadów. Warto zatem spróbować dalszych w tym względzie doświadczeń.

Różne sprawy publiczne i prywatne.

Z Wiednia. Czytamy w *Dzienniku Polskim*: „Od kilku tygodni mamy tu w centrum miasta — na Wipplingerstrasse — sklep polski i to pierwszorzędny. Właściciel sklepu p. Czyński z Jarosławia, urządził go z wielkim gustem i zaopatrzył we wszystko, cokolwiek kraj nasz produkuje dobrego. Od 1. bm. istnieje przy sklepie obszerny lokal do śniadań, w którym nietylko polacy, ale i niemcy delektują się wódkami Baczewskiego, piwem z Okocima, kiełbasami Underki i innemi polskimi specjałami. Niemcom tak zasmakowała polska wódka, że gotowi i nas jeszcze przepić. Może w ten sposób pan Czyński odegra rolę konia trojańskiego i pomści nasze krzywdy... *à la guerre, comme à la guerre!*"

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Pan Fr. L. w Le. Pojmujemy słuszny żal do wiadomej redakcji, ale nadesłanego wiersza zamieścić w swojem piśmie nie możemy, bo byłby to, w każdym razie, przedruk i to z przeszłego roku. Za życzliwość serdecznie dziękujemy, o dalsze współpracownictwo prosimy.

Bystry Czytelnik. Zwykła omyłka — nic więcej.

Ładna buzia. Buzia może ładna, ale wiersze nie.

K. D. w Chicago. Już pisaliśmy o tem.

Autorowie wierszy: „Do...", „Wulkany", „Jak głaz" — utwory panów drukowane nie będą.

J. W. C. w Krakowie. Sprawę wydzierżawienia krakowskiego teatru nowego, trzeba zostawić naturalnemu biegowi.

Nadesłane.

Znana dobrze we Lwowie **Kawiarnia teatralna**, z gruntu odświeżyła swój lokal i, rzeczywiście, jest pierwszorzędnym zakładem w najlepszem znaczeniu tego pojęcia. Oświetlenie wspaniałe, umeblowanie z komfortem, usługa czysta, a wszystko co podają pierwszo rzędnej jakości, przytem gazet i pism perjodycznych do czytania mnóstwo.

Właściciel **Kawiarni teatralnej** p. Józef Erlich, rzetelnem postępowaniem, pracą, skrzętnością i znajomością swego fachu, zasługuje na publiczne uznanie.

(5756—2—1) *Grono gości.*

Z Przemyśla.

Przyjemną i pożyteczną nowinę zakomunikować możemy wszystkim tym, którzy jeżdżą koleją. Oto na dworcu kolejowym w Przemyślu, dworcu jak wiadomo jednym z największych w Galicji, objął restaurację pan *Lubin Dienstl*, tak dobrze znany i renomowany w swoim fachu przedsiębiorca. Dawno już oczekiwaliśmy, aby restauracja na dworcu kolejowym w Przemyślu dostała się w ręce przemysłowca rzetelnego, energicznego i znającego się na swoim fachu i nareszcie doczekaliśmy się. Pan *Dienstl* może liczyć na ogólne uznanie dla swej uczciwej pracy, bo go tu z tej strony wszyscy dobrze znamy. Zaraz też na samym początku zapanował w zakładzie wzorowy porządek, a wszelkie potrawy i napoje podawane zadawolnić mogą najwybredniejszych smakoszów. Kuchnia p. *Lubina Dienstla*, jest zdrowa, pożywna i smaczna — czystość wzorowa, usługa karna i grzeczna, a właściciel od rana do póżnej nocy czuwa bezustannie nad tem, aby każdy gość był jak najlepiej i jak najrzetelniej obsłużony. Życzymy panu Dienstlowi najlepszego powodzenia, gdyż zasługuje on na nie pod każdym względem. (5745—3—1).

Z Jasła. Na stacji kolejowej ma nastąpić w tych czasach zmiana restauratora. Smutne to bardzo, iż rzetelni i fachowi tego rodzaju ludzie, tak szybko usuwają się, lub bywają usuwani. Z prowadzenia restauracji kolejowej w Jaśle przez p. J. Siweka tak publiczność miejscowa, jak i przejezdna była nadzwyczaj zadowoloną i najpochlebniej o nich się wyrażą, gdyż w restauracjach kolejowych głównie chodzi oto, aby wszelkie potrawy były świeże, smaczne i zdrowo przyrządzane, a ceny przystępne — co praktykowanem było dawnego i obecnego restauratora, jak świadczą o tem liczne korespondencje zamieszczane w „Gońcu i Iskrze" w sezonie letnim. Zdaniem naszem jest, iż dyrekcja kolei państwowej, dbająca o dobro publiczności przejezdnej pod względem restauracyj kolejowych, która już niejedno złe usunęła, oddając restauracje ludziom fachowymi nabrała przekonania o ich rzetelnem prowadzeniu, nie usunie tychże by zastąpić przedsiębiorcą, który tylko dla własnych korzyści, dzierżawi restaurację, krzywdząc głównie publiczność, która podróżując kolejami, szuka zdrowego posiłku, a tymczasem spożywa cobądź podane w restauracji kolejowej, płacąc ile jej podyktują i na zawołanie dzwonka rusza w dalszą drogę. (5757-1-1)

Dr. Leon Pawęcki

otworzył (5759-4-1)

kancelarję adwokacką

we Lwowie,

przy ul. Skarbkowskiej l. 19.

Świeżo założoną cukiernię **p. Nasalskiego we Lwowie, przy ulicy Aakademickiej l. 8.** polecić możemy naszym paniom gospodyniom, jako zakład prowadzony sumiennie, uczciwie i ze znajomością swego fachu. Przewyborne cukry, świeże ciasta w najróżnorodniejszych gatunkach, smaczna kawa i herbata, mogą zadowolnić największego smakosza. Cukiernia urządzona jest z wielką elegancją i komfortem, usługa prędka i grzeczna, spodziewamy się więc, że zakład p. Nasalskiego, przy zbliżających się świętach będzie licznie odwiedzany. (5755—3—1)

Dr. Zygmunt Ashkenazy

ekarz chorób kobiecych, powróciwszy z Krynicy, przyjmuje do **Masażu** ***Thure Brandta*** jako też ***Mezgera*** łącznie z **Wibracją** nowym przyrządem szwedzkim (5723—st.—1)

ulica Chorążczyzny Nr. 11 we Lwowie.

Najróżnorodniejsze wyśmienite pierniki z parowej fabryki pani **H. Czyńskiej w Jarosławiu,** przyjęte i uznane zostały za najlepsze w całym kraju i po za granicami tegoż. Pani Czyńska oprócz już znanych P. T. Publiczności królewskich, cesarskich pierników, biszkoktów, sucharków i innych smakołyków piernikarskich, wprowadziła *nowość* w przepysznym smaku piernika *„Sokół“*, to też piernik sokolski powinien znaleść miłe przyjęcie u naszych dzielnych Sokołów. (5659 8—5).

Dr. Henryk Kopecki

otworzył kancelarję adwokacką we Lwowie, przy ulicy Skarbowskiej Nr. 5. (5734—6—2)

W miejsce dawnego,

już został otwarty nowo wybudowany zakład fotograficzny 5736—st—2

HENNERA

przy ul. Akademickiej l. 18.

składający się z dwóch pawilonów o zupełnie odmiennem i odpowiednem oświetleniu; jeden pawilon przeznaczony wyłącznie dla zdjęć portretów, drugi zaś dla grup, mogący w sobie przeszło sto osób pomieścić

Adwokat Dr. Kołaczkowski

w Złoczowie (5727—3—2)

poszukuje koncypienta.

Nowo otworzona restauracja przy ul. Jagiellońskiej pod l. 16. przez znanego powszechnie z rzetelności restauratora p. T. Teichmana we Lwowie, zasługuje ze wszech miar na uznanie i poparcie, gdyż lokal restauracji urządzony jest z komfortem, usługa skrzętna, **a przedewszystkiem czysto ubrana,** co się spotyka tylko w pierwszorzędnych zakładach gastronomicznych. Więc restauracja p. T. Teichmana odpowiada dziś wszelkim wymaganiom, kuchnia zdrowa i pożywna, napoje wszelkiego rodzaju w najlepszej jakości, oraz wiele dzienników polskich i niemieckich, a ceny nadzwyczaj umiarkowane. (5724—3—2).

Zmiana pomieszkania.

Specjalista chorób skórnych i wenerycznych

dr. Stanisław Sochanik

b. lekarz na klinice prof. Kaposiego i oddziele prof. Langa we Wiedniu mieszka plac Bernadyński l. 15 I piętro ord. od 11—12 i od 3—5 po południu. 5681—10—7.

JAN CZUBA

właściciel kamieniołomów w Bieśniku

wyrabia z kamienia ciosowego trwałego, nie ulegającego wpływom powietrza i wilgoci, wszelkiego rodzaju roboty kamieniarskie, jako to: *pomniki, figury, schody i różne inne rzeczy, służące do ozdoby kamienic, cokoły, odrzwia, futryny; układa chodniki, posadzki, cembryny do studzien i t. p.*

Wszystko po cenach najumiarkowańszych.

Uznanie. Uchwałą Świetnej Rady miasta Tarnowa z dnia 16 listopada 1882 r. udzielono p. Janowi Czubie, właścicielowi kamieniołomuw Bieśniku poczta Zakliczyn za trwałą i dokładną robotę dostarczoną dla miasta Tarnowa, wykonaną tanio i w należytym czasie piśmienne uznanie. (5742—10—1)

Nowo otwarty koncesjonowany 5738—10—2

ZAKŁAD POGRZEBOWY

F. Nowińskiego

w Krakowie, Wesoła, ulica Kopernika l. 8,

zaopatrzony w wielki wybór trumien metalowych, jakoteż dębowych i z miękkiego drzewa, własnego wyrobu, materacy i poduszek do trumien, wszelkich ubrań żałobnych, krzyży nagrobkowych i krzyżyków, wieńców z sztucznych i żywych kwiatów, szarf z napisami do wieńców, posiada wszelkie przybory pogrzebowe, karawany oszklone i nieoszklone, zaprzęgi do wyboru, remizy, powozy parokonne i jednokonne.

Zakład urządza pogrzeby od najwspanialszych do najskromniejszych, po bardzo umiarkowanych cenach i ze ścisłą punktualnością.

Oszczędność

dla miast, gmin i wszystkich brukujących, lub potrzebujących kostek i płyt kamiennych.

Doświadczenie w praktyce, oraz **jednomyślny sąd** specjalistów i fachowców stwierdziły, że **najlepszym** i **najtrwalszym** materjałem do **wszelkiego brukowania,** jak również wykładanie płytami chodników na ulicach, lub też wewnątrz wszelkich budynków — jest **kamień porfirowy,** a ponieważ jest **najtrwalszy,** a więc i **najtańszy.**

Porfir taki znajduje się w obszernych, bo 50 morgów zajmujących:

Kamieniołomach J. BARANOWSKIEGO

pod Krzeszowicami.

Większe miasta, jak Berlin, Wiedeń, Warszawa, a także Lwów i Kraków, **ten porfir z kamieniołomów J. Baranowskiego** sprowadzają dla brukowania ulic i wykładania chodników. **Porfir** z tych kamieniołomów pochodzący, opiera się wszystkim zmianom klimatu, jest **twardszy** nawet od granitu, ściera się przez użycie równo, a więc czas i deptanie nie robi w nim dołów, w których się zbiera woda, lub lód i tym sposobem nie potrzebuje naprawy, — wytrzymuje najtęższe mrozy, nie wietrzeje i nie pęka.

Mimo tych przymiotów wytrzymałości i twardości, **cena porfiru** nie jest wyższa od innych kamieni, a od wielu **niższa** — ze względu zaś na **niezrównaną wytrzymałość i trwałość, porfir jest tańszy od wszystkich innych kamieni brukowych** zwłaszcza, że z porfiru tego można wyrabiać płyty, bordiury, kostki, pieńki i t. p. o jednej treści i o gładkiej powierzchni, czego się nie da uczynić z innych materjałów. (5714-12-3)

Z wszelkiemi zamówieniami, wyjaśnieniami, oraz szczegółowemi żądaniami cen, udawać się należy pod adresem:

J. Baranowski,

właściciel dóbr i kamieniołomów w Trzebini.

R. Suttner & T. Zima

Fabryka kotłów

i warsztat reperacyjny maszyn

4957-st. 31. **w Kołomyi**

przyjmuje wszelkie roboty kotlarskie i maszynowe. Budowa i reperacyja kotłów parowych i lokomobil. — Kotły i przyrządy do rafinerji naftowych, gorzelń, browarów, tartaków etc. — Ręczymy za dobre i punktualne wykonanie powierzonych nam robót.

Fabryka ta posiada także filję w **Gorlicach.**

Pod „Dzwonami“

w Przemyślu,

z komfortem urządziłem restaurację, postarałem się o dobrą kuchnię, zaopatrzyłem bufet w doborowe napoje wszelkiego rodzaju, sprowadziłem bilard najnowszej konstrukcji. Służba uprzejma, a ceny umiarkowane.

Licząc na łaskawe poparcie P. P. Publiczności pozostaję z szacunkiem

Leopold Wolkentreiber

Restaurator. (5752-3-1

Skład fortepianów i pianin

B. Gabryelskiej

Krzysztofory — w Krakowie.

☛ *a)* **Sprzedaję wszystkie nowe fortepiany i pianina** mojego składu 5% poniżej cen fabrycznych i zadowalniam się resztą otrzymanego od fabrykantów rabatu. Że tak jest rzeczywiście, o tem można się łatwo przekonać przy pomocy już to zniesienia się wprost z fabryką, które każdemu jak najchętniej ułatwiam, jużto cenników i książek rachunkowych, które wszystkim z całą gotowością pokazuję. — *b)* Częścią reszty, która mi pozostaje od fabrycznego rabatu, opłacam wszystkie koszta przewozu, danego narzędzia muzycznego od fabryki aż do miejsca przeznaczenia. — *c)* Na żądanie wysełam fortepiany i pianina ze wskazanej mi fabryki wprost pod wskazanymi adresami i sprzedaję je na tych samych warunkach, na których sprzedaję narzędzia muzyczne znajdujące się na moim składzie; każdy więc taki fortepian, który (n. p. w Wiedniu) kosztuje na miejscu we fabryce 400 złr., a z opakowaniem i dostawą (n p. do Tarnowa) kosztowałby 430 złr., sprzedaje za 380 złr. i odstawiam do Tarnowa bezpłatnie. — *d)* Za wszystkie nowe, nawet najtańsze narzędzia muzyczne mojego składu (a więc za fortepiany od 300 złr. i pinnina od 200 złr.) daję porękę 20-letnią. — *e)* Każde narzędzie muzyczne kupione u mnie (albo w moim składzie, albo w jakiejkolwiek fabryce za moim pośrednictwem) przyjmuję napowrót w tej samej cenie, w jakiej je sprzedałam i wymieniam na inne, jeżeli kto tego zażąda w przeciągu trzech miesięcy od kupna. — *f)* Sprzedając fortepiany i pianina na raty (chociażby po 10 złr. miesięcznie) nie żądam za nie ani centa więcej, jak sprzedając je za gotówkę. — *g)* Narzędzia muzyczne używane wymieniam za dopłatą na nowe. — *h)* W sprzedaży fortepianów i pianin wstawionych u mnie w komis pośredniczę bezinteresownie.

5700 24—6

L. Niewiadomski i Spółka

(5722—3—5) poleca

swój bogato zaopatrzony

Handel towarów żelaznych

po cenach umiarkowanych

w Kołomyi, Rynek liczba 69.

Adwokat krajowy

Dr. Włodzimierz F. Dudykiewicz

otworzył kancelarję adwokacką

w Kołomyi, ul. Kościuszki dom p. Friedfertiga l. $196^{1}/_{4}$.

(5751-6-1)

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117

Illustracje odbite w litografji A. Plutera we Lwowie, ulica Kopernika l. 17